

Twórca bestsellerowych thrillerów:
Oficera i szpiega oraz Konklawe

ROBERT HARRIS

DRUGI SEN



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE SECOND SLEEP

Copyright © Canal K Limited 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: © Darrell Gulin/The Image Bank/Getty Images (*jeździec i pies*),
© A-Digit/DigitalVision Vectors/Getty Images (*trawy*), © Mint Images/Getty Images
(*pejzaż*)

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Glenn O'Neill

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Kasia Meszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ukryta dolina

Późnym popołudniem we wtorek dziewiątego dnia kwietnia Roku Pana Naszego Zmartwychwstałego 1468 pewien samotny wędrowiec przemierzał konno dzikie wrzosowiska starodawnego regionu południowo-zachodniej Anglii, który od saksońskich czasów nosi nazwę Wessex. Jeśli na twarzy owego młodego człowieka malował się niepokój, nie powinno nas to dziwić. Od ponad godziny nie napotkał na drodze żywej duszy. Zaczynało się ściemniać i gdyby ujęto go po zmierzchu poza domem, mógł wylądować na całą noc w areszcie.

Zatrzymał się wcześniej, by spytać o drogę, w targowym mieście Axford, gdzie grupka niezbyt przyjaźnie nastawionych jegomościów popijała przed gospodą z namalowanym na szyldzie łabędziem. Wykpiwając między sobą obcy akcent przybysza i przedrzeźniając jego wyrafinowaną wymowę, odpowiedzieli, że jeśli chce dotrzeć do celu, musi jechać prosto w stronę zachodzącego słońca. Teraz jednak zaczął podejrzewać, że mógł stać się kolejną ofiarą miejscowej krotochwili, bo kiedy minął wysokie ściany miejskiego więzienia, przy któ-

rych gnili w klatkach trzej powieszoni złoczyńcy, następnie zaś przejechał przez rzekę i znalazł się na otwartym terenie, niebo na zachodzie zasnuły ciężkie chmury, zasłaniając słońce. Strzeżona wieża kościoła w Axford, którą miał za plecami, dawno temu skryła się za horyzontem. Wiodąca w dół droga przed nim wiła się między bezludnymi zalesionymi stokami i dzikimi wrzosowiskami z żółtymi łanami kolcolistów i w końcu ginęła w mroku.

W pewnym momencie zrobiło się bardzo cicho, co w tej części kraju często sygnalizowało zmianę pogody. Wszystkie ptaki, nawet wielkie czerwone kanie, których skrzeczenie ściagało go od wielu mil, nagle umilkły. Owionął go chłodny całun unoszącej się z wrzosowiska szarej wilgotnej mgły i po raz pierwszy, odkąd wczesnym rankiem wyruszył w podróż, poczuł, że powinien pomodlić się głośno o opiekę do swojego świętego patrona, który przynosił małego Chrystusa na plecach przez rzekę.

Po jakimś czasie droga zaczęła biec wzdłuż zalesionego zbocza. Wznosząc się, jednocześnie się zwężała, aż w końcu przestała się różnić od leśnego duktu. Po zrytej koleinami brązowej ziemi, pokrytej kamieniami, jasnoniebieskim łupkiem i żółtym żwirem, płynęły strugi deszczówki. Ze stromych ścian wąwozu bił zapach dzikich ziół – miodunki, melisy i czosnaczku – a gałęzie drzew wisały tak nisko, że kiedy jeździec pochylił się i odsuwał je ramieniem, na głowę i rękaw spadały mu kaskady zimnej wody. W pewnym momencie coś zaskrzeczało i błysnęło szkarłatem w półmroku, a wędrowcowi serce podeszło do gardła. Już po chwili zdał sobie jednak sprawę, że to zwykła papużka aleksandretta, i zamknął z ulgą oczy.

Otworzywszy je, zobaczył przed sobą brązowy kształt, który wziął z początku za powalone drzewo. Kiedy otarł rękawem twarz i pochylił się w siodle, dostrzegł jednak, że to postać w opończy z mnisim kapturem, popychająca przed sobą wózek. Ścisnęła kolanami boki klaczy, żeby przyspieszyła kroku.

– Bóg z tobą! – zawołał do dziwnej zjawy. – Jestem nietutejszy.

Osobnik udał, że go nie słyszy, i zaczął pchać wózek z jeszcze większą zawziętością. Jeździec musiał go ponownie wyprzedzić. Tym razem ustawił klacz bokiem, blokując wąski trakt. Zauważył, że na wózku są bele wełny. Poluzował przy szyi tasiemki peleryny.

– Nie mam złych zamiarów. Zwę się Christopher Fairfax. – Zsunął w dół mokry materiał i uniósł brodę, by pokazać białą koloratkę na szyi. – Jestem sługą Bożym.

W strugach deszczu zobaczył zwróconą ku sobie pociągłą twarz mężczyzny. Kaptur powoli i niechętnie zjechał w dół, odsłaniając całkowicie łysą głowę. Na czubku lśniącej czaszki, po której spływała woda, widniało sierpowate znamię krwawej barwy.

– Dojadę tędy do Addicott St George?

Mężczyzna podrapał się w znamię i zmrużył oczy, jakby odpowiedź na to pytanie wymagała wielkiego umysłowego wysiłku.

– Mówicie o Adcut? – zapytał w końcu.

– Dobrze, niech będzie Adcut – odparł ociekający wodą, tracący cierpliwość Fairfax.

– Nie. Pół mili wcześniej minęliście rozwidlenie. Powinniście byli skręcić w drugą drogę. – Mężczyzna przyjrzał mu się

od stóp do głów z niespieszną chłopską chytrą, jakby oceniał zwierzę na targu. – Młodzieście jak na służbę Bożego.

– A mimo to chyba dość dojrzały, by nim zostać! – Fairfax uśmiechnął się z przymusem i skłonił głowę. – Z Bogiem!

Ściągnął cugle, obrócił swoją starą siwą klacz i poprowadził ją ostrożnie w dół rozmytym traktem aż do rozwidlenia dróg. Jeśli ktoś o nim nie wiedział, trudno je było zauważyć. A zatem ci łajdacy w Axford naprawdę chcieli, by zabłądził – czego nigdy nie ośmieliliby się zrobić, gdyby wiedzieli, że jest duchownym. Powinien poinformować o tym miejscowych szeryfów. Tak, w drodze powrotnej nie omieszka tego zrobić. Niechaj ci głupi wiejscy nicponie zostaną ukarani z całą surowością prawa – więzieniem, grzywną, zakuciem na cały dzień w dyby, tak by obrzucano ich kamieniami i gnojem...

Drugi trakt był jeszcze bardziej stromy. Rosnące po obu stronach starodawne drzewa nachylały się ku sobie kilka jardów nad jego głową, jakby się naradzały. Splątane gałęzie zasłaniały wszelkie światło. Mogło się zdawać, że w tym mokrym tunelu noc już dawno zapadła. Klacz potknęła się i nie chciała iść dalej. Fairfax objął ją za szyję.

– No dalej, May! – szeptał jej do ucha, ale zwierzę było uparte, z wiekiem coraz bardziej narowiste, podobne raczej do muła, i w końcu musiał zsiąść z siodła i poprowadzić je za uzdę.

Idąc pieszo, czuł się bardziej zagrożony. W sakiewce miał dwadzieścia funtów na różne wydatki, wyliczone przez diakona co do pensa poprzedniego wieczoru, a wielu wędrowcom zdarzało się zginać za połowę tej sumy. Ślizgając się w błocie, ciągnął klacz za uzdę. Jego biskupowi naprawdę udało się ten

żart, myślał z goryczą. Może i rzadko się uśmiechał, ale to wcale nie znaczyło, że nie miał specyficznego poczucia humoru. Żeby wysłać człowieka w takiej misji, trzydzieści mil, w najdalszy zakątek diecezji, na dychawicznej starej kobyle...

Wyobraził sobie swoich braci, którzy zbierają się w kapitułarzu na wczesnej wieczerzy, siadają w długich ławach przed wielkim paleniskiem; biskupa, który pochyla siwą głowę, by zmówić pacierz, jego oświetloną płomieniem twarz o szarym odcieniu, błysk złośliwej radości w małych ciemnych oczkach.

„Na koniec pomódlmy się za naszego brata w Chrystusie, Christophera Fairfaxa, który dziś wieczorem trudzi się w służbie naszej świętej Matki Kościoła... w odległej krainie!”

Jakiś przekłety płynący w pobliżu strumyk zdawał się gulgotać ze śmiechu.

Ale w momencie, gdy Fairfax zaczynał tracić ostatnią nadzieję, u wylotu zarośniętego traktu zajaśniało niewyraźne światło; przez jakiś czas brnął jeszcze w błocie i w końcu zobaczył w ostatnim blasku dnia, że stoi na szczycie wzgórza. Po prawej teren opadał stromo w dół. Na ogrodzonych kamiennymi murkami niewielkich tarasach pasły się krowy, owce i kozy. Rozpadające się drewniane szopy przybrały po zimie ołowiany kolor. Mniej więcej milę dalej przez płynącą doliną rzekę przerzucono most. Stojący obok kamienny kościół z kwadratową dzwonnica otaczała mała osada składająca się w większości z krytych strzechą chat. Tu i tam z kominów unosiły się pióropusze białoszarego dymu, który zlewał się z ciemniejszym niebem. Chmury nad otaczającymi dolinę wzgórzami sunęły nisko i szybko niczym sztormowe fale. Przestało padać. W

nozdrza wpadł mu zapach płonących szczap. Wyobraził sobie ciepły jasny ogień, gorącą strawę, towarzystwo innych ludzi. Rzeńskie wilgotne powietrze podniosło go na duchu. Nawet kłaczy humor polepszył się na tyle, że pozwoliła mu się dosiąść.

Było prawie ciemno, gdy wjechał kłusem do wioski. Podkute kopyta May zadudniły na spinającym brzegi rzeki kamiennym moście i rozchlapały błoto w wąskiej uliczce. Z wysokiego siodła mógł zajrzeć do stojących po obu stronach bielonych chat. Przed niektórymi były ogródki ogrodzone białymi płotami, ale większość stała tuż przy drodze. W kilku oknach paliły się świece; w jednym dostrzegł błądy owal twarzy, która zaraz zniknęła za zasłoną. Przy cmentarnej bramie przystanął i rozejrzał się. Brukowana alejka prowadziła przez cmentarz do drzwi kościoła, który, jak się domyślał, musiał stać w tym miejscu od tysiąca, a może nawet półtora tysiąca lat. Na zatkniętym na szczycie wieży maszcie wisiała spuszczone do połowy mokra flaga Anglii z czerwonym krzyżem świętego Jerzego na białym tle.

Po drugiej stronie cmentarza, za murem, stał rozpadający się piętrowy budynek kryty słomianą strzechą. Przyjrząwszy mu się uważniej, Fairfax dostrzegł w jego progu ubraną na czarno szczupłą kobietę, która obserwowała go, trzymając w ręce latarnię. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem nad omszałymi nagrobkami. A potem kobieta uniosła latarnię i poruszyła nią w jedną i drugą stronę. Fairfax podniósł rękę, spiął klacz i ruszył wokół cmentarza do czekającej na niego postaci.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ojciec Fairfax poznaje ojca Thomasa Lacy'ego

Zabrała go od razu na górę, żeby zobaczył ojca Lacy'ego. Fairfax zdążył tylko postawić w sieni swoją torbę, zdjęć ociekającą wodą pelerynę i ściągnąć zabłocone buty, i już szedł za nią po wąskich drewnianych schodach na piętro, zeszytywniały, z nogami wykrzywionymi w pałąk po długich godzinach spędzonych w siodle.

Obracając się przez ramię, poinformowała go, że nazywa się Agnes Budd, jest tu, na plebanii, gospodynią i czekała na niego przez cały dzień. W jej głosie, pozornie pełnym szacunku, usłyszał ton przygany.

Musiał pochylić głowę, by wejść do alkierza. W środku było zimno i unosił się zapach chlorku wapnia. Na dworze zapadł już siny zmierzch; na podłodze pod oprawionymi w ołów szybkami szeroko otwartego okna były kałuże deszczówki. Czarne wieko trumny oparto o komodę; sama trumna leżała na ciężkim drewnianym łóżku. Na szafkach nocnych po obu jego stronach paliły się świece. Na jednej z szafek były poza tym okulary i książka, jakby zmarły dopiero co przestał czytać. Płomyki świec migotały w przeciągu.

Fairfax ostrożnie podszedł do trumny i spojrzął na zwłoki. Były długie i chude, złożone w trocinach i zawinięte ciasno w biały płócienny całun, niczym mająca się wykluć poczwarka. Twarz zakrywała biała koronkowa chustka. Zerknął na gospodynię i kiedy skinęła głową, ujął palcami górne rogi chustki i uniósł ją.

W swoim krótkim życiu widział już wiele zwłok. W tamtych czasach trudno było się na nie w Anglii nie natknąć. Wisiały zawieszane w żelaznych klatkach jak ci skazańcy w Axford, żeby odstraszać przestępców. Pojawiały się z dnia na dzień w bramach domostw albo na połaciach jałowej ziemi i leżały tam, dopóki ktoś nie zapłacił czyścicielowi latryn za ich usunięcie. W czasie niedawnej epidemii tyfusu udzielał ostatniego namaszczenia dzieciom zaraz po tym, jak zamknął oczy ich dziadkom. Ale nigdy nie oglądał zwłok w takim stanie. Nos był złamany, oczodoły – strzaskane. Przez czoło biegła głęboka rana. Prawe ucho było okaleczone, jakby ktoś je nadgryzł. Choć rany próbowano zamaskować sproszkowanym białym ołowiem, przeświecały zielonkawo przez puder. Efekt był groteskowy. Lacy, co nietypowe dla duchownego, nie miał brody, lecz siwy kilkudniowy zarost.

Pochylając się, by dotknąć jego głowy w akcie błogosławieństwa, Fairfax poczuł stęchły odór rozkładu i szybko się cofnął. Stary ksiądz powinien już dawno leżeć w grobie.

- Od jak dawna nie żyje?
- Od tygodnia, ojcze. Ostatnie dni były ciepłe.
- O której godzinie jest pogrzeb?
- O jedenastej, ojcze.
- Obawiam się, że nie powinniśmy zwlekać ani chwili dłu-

żej. – Fairfax położył z powrotem chustkę na pogruchotanej twarzy, cofnął się o krok i przeżegnał. – Pokój niech będzie z tobą. Niechaj posłuszny sługa Pana spoczywa w ramionach Chrystusa. Amen.

– Amen – zawtórowała gospodyni.

– Zamknijmy trumnę, pani Budd.

Unieśli oboje ciężkie wieko i zakryli nim skrzynię. Porządna prosta stolarka, pomyślał Fairfax – pomalowany na czarno zacny angielski dąb, zamontowane po bokach mosiężne uchwyty, ściśle dopasowane wieko, żeby zabić odór. Agnes Budd wyciągnęła zza paska ścierkę i przetarła je do czysta. Wpatrywali się przez chwilę w trumnę, a potem gospodyni zauważyła kałużę pod oknem i mrucząc coś pod nosem, wytarła ją i wyjęła ścierkę na zewnątrz.

– Lepiej chyba zostawić okno otwarte – powiedział, kiedy sięgnęła, by je zamknąć. Na podeście wyciągnął własną chusteczkę i udał, że wydmuchuje nos. Wciąż miał w nozdrzach ten zapach. – Te obrażenia na jego twarzy... Biedaczysko. W jaki sposób je odniósł?

– Poranił się, spadając, ojcze.

– Musiał spaść z wielkiej wysokości.

– Mówią, że to było jakieś trzydzieści jardów.

– Kto mówi?

– Ci, którzy go znaleźli, proszę księdza. Kapitan Hancock, pan Keefer, nasz zakrystianin, i kowal, pan Gann.

– O jakiej to było porze dnia?

– Ojciec Lacy wyszedł z plebanii we wtorek po południu w solidnych butach i z rydlem w ręce. I już tu nie wrócił. Zorganizowano poszukiwania i w środę wieczorem przywieziono

jego zwłoki do domu.

– Dużo chodził po okolicy?

– Tak, proszę księdza. Większość miejsc odwiedzał pieszo. Rzadko jeździł konno. Kilka lat temu oddał nawet swojego wierzchowca.

Zaprowadziła go na dół, do bawialni, której nie był w stanie ogrzać tłący się na palenisku wątył ogieniek. Na stole było tylko jedno nakrycie.

– Będzie chciał ksiądz zjeść kolację?

Godzinę wcześniej konał z głodu, lecz teraz na myśl o jeździe żołądek podchodził mu do gardła.

– Tak, poproszę. Ale najpierw muszę się zająć swoim koniem.

Ruszył do wyjścia kamiennym korytarzem. Zastanawiał się już, jak najszybciej się stąd wynieść. Próbował sobie przypomnieć nazwę gospody, przy której zatrzymał się w Axford. Chyba Pod Łabędziem. Skoro pogrzeb miał się odbyć o jedenaście, będzie mógł wyjechać z wioski o pierwszej i spokojnie zdążyć do gospody na kolację.

We frontowych drzwiach był zamontowany potężny, lśniący nowością zamek. Fairfax otworzył je i wyszedł do małego ogródka. W szklistym wilgotnym powietrzu unosiły się zapachy mokrych traw i drzewnego dymu. May zniknęła. Zostawił ją przy słupku furtki. Czyżby niestarannie przywiązał wodze? Rozejrzał się. W wiosce nie paliły się żadne światła. W uszach dzwoniła mu głęboka wiejska cisza.

– Niech ksiądz się nie martwi. – Słyszac za sobą głos gospodyni, o mało nie podskoczył. – Rose odprowadziła konia do stajni.

– To bardzo miło z jej strony. Proszę jej podziękować w moim imieniu.

Z powodów, których nie potrafił dokładnie określić, czuł się dziwnie poirytowany. Wziął do ręki swoją torbę i podążył w ślad za kobietą z powrotem do bawialni.

– No cóż, pani Budd – starał się, by w jego głosie zabrzmiał rzeczowy ton – chciałbym, jeśli można, poznać odpowiedzi na kilka pytań. – Postawił torbę na stole, przez chwilę w niej grzebał, po czym wyjął piórnik i kilka arkuszy papieru. – Ale wszystko po kolei... – dodał z uśmiechem, żeby się odprężyła. – Jest w tym domu inkaust?

– A cóż to za pytanie?

Agnes Budd była cała w nerwach. Zastanawiał się, ile może mieć lat. Chyba koło pięćdziesiątki. Miała ziemistą, płaską twarz, siwe włosy i zaczerwienione, pewnie od płaczu, oczy. Jak bardzo postarza nas zgryzota, pomyślał z nagłym żalem, jak bardzo jesteśmy podatni na zranienie, biedne śmiertelne istoty starające się nadrabiać miną.

– W ramach moich obowiązków – zaczął – mam wygłosić mowę na pogrzebie ojca Lacy’ego, co nigdy nie jest łatwe, nawet jeśli się zna zmarłego, a może przysporzyć prawdziwych problemów, kiedy się go nigdy nie spotkało. – Starał się zasugerować, że to dla niego nie pierwszorzyna, choć w rzeczywistości nigdy jeszcze nie odprawił pogrzebu i nie wygłosił na nim mowy. – Muszę ustalić kilka prostych faktów. A zatem... inkaust? Podejrzewam, że w domu księdza musi być inkaust?

– Oczywiście, że jest, ojcze. Mamy bardzo dużo inkaustu – odparła urażona kobieta i wyszła, zapewne by mu go przynieść.

Fairfax usiadł, złapał za krawędzie stołu i rozejrzał się po izbie. Nad kominkiem wisiał prosty drewniany krzyż. W świetle świec ściany nabrały pomarańczowobrazowego koloru i wyraźnie się pochylały, a sufit ugiął się pośrodku. Mimo to izba sprawiała wrażenie solidnej i bardzo starej, jakby przetrwała długie wieki i nic nie mogło jej ruszyć. Wyobraził sobie pokolenia księży, którzy siedzieli w tym co on miejscu – dzieciątki, jeśli nie setki duchownych, pełniących skromnie służbę Bożą w tej odległej, zapomnianej dolinie. Myśl o takim niedocenionym oddaniu natchnęła go pokorą i kiedy Agnes Budd wróciła, próbował ją w jakimś stopniu okazać, wysuwając krzesło, by mogła usiąść naprzeciwko niego, i przemawiając do niej uprzejmym tonem.

– Wybacz pani... powinienem to wiedzieć... Od jak dawna ojciec Lacy był tu księdzem?

– W styczniu minęły trzydzieści dwa lata.

– Trzydzieści dwa lata? To prawie jedna trzecia stulecia... całe życie! – Fairfax rzadko kiedy słyszał o tak długim probostwie. Umoczył pióro w kałamarzu i zanotował to. – Miał jakąś rodzinę?

– Brata, który zmarł przed wielu laty.

– A pani? Jak długo pełniła pani u niego służbę?

– Od dwudziestu lat.

– Razem z mężem?

– Nie, proszę księdza, jestem od dawna wdową, ale mam siostrzenicę, Rose.

– To ona właśnie zajęła się moim koniem?

– Mieszka na plebanii razem z nami... to znaczy teraz ze mną.

– I co z wami będzie teraz, kiedy ojciec Lacy nie żyje?

Ku jego przerażeniu w oczach stanęły jej łzy.

– Nie mam pojęcia. To stało się tak nagle, że w ogóle o tym nie myślałam. Może nowy proboszcz będzie chciał nas zatrzymać? – Spojrzała na niego z nadzieją. – Czy to ksiądz obejmie teraz tę parafię?

– Ja? – O mało nie parsknął śmiechem, tak absurdalna wydała mu się myśl, że dałby się tutaj żywcem pochować. Uświadomiwszy sobie, jak niegrzecznie by to zabrzmiało, zdołał się jednak powstrzymać. – Nie, pani Budd. Jestem najniższym ze sług biskupa. Mam swoje obowiązki w katedrze. Powierzono mi wyłącznie misję odprawienia pogrzebu. Ale powiadomię diecezję o zaistniałej sytuacji. – Zanotował to, odchylił się w krzesło i ssąc końcówkę pióra, uważnie przyglądał się kobiecie. – Czy obowiązków duszpasterskich nie mógłby przejąć jakiś miejscowy kapłan?

To samo pytanie zadał poprzedniego dnia biskupowi Pole'owi, kiedy usłyszał o powierzonym mu zadaniu – sformułował je oczywiście bardziej dyplomatycznym językiem, bo biskup nie przywykł, by kwestionowano jego polecenia. Ale Pole zacisnął tylko usta w wąską kreskę, przerzucił kilka papierów i odburknął, że Lacy był dziwakiem niezbyt lubianym przez okolicznych duchownych. „Znałem go, kiedy był młody – dodał. – Studiowaliśmy razem w seminarium. Potem nasze drogi się rozeszły. – Nagle spojrzał Fairfaxowi prosto w oczy. – To dla ciebie duża szansa, Christopherze. Misja jest prosta, ale wymaga pewnej dyskrecji. Powinieneś to załatwić w jeden dzień. Polegam na tobie”.

Agnes Budd wbiła wzrok we własne dłonie.

– Ojciec Lacy nie utrzymywał bliskich stosunków z plebanami z sąsiednich dolin.

– A to dlaczego?

– Chadzał własnymi ścieżkami.

Fairfax zmarszczył czoło i pochylił się lekko do przodu, jakby nie pojmował do końca jej słów.

– Przepraszam, nie bardzo rozumiem. „Chadzał własnymi ścieżkami”? Jest chyba tylko jedna ścieżka, ta prawdziwa. Cała reszta to herezja.

Nadal nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, ojczu. To nie na moją głowę.

– A jak wyglądały jego stosunki z mieszkańcami wsi? – zapytał. – Był lubiany przez swoich parafian?

– Oczywiście. Przez większość.

– Ale nie przez wszystkich?

Tym razem nie doczekał się odpowiedzi. Odłożył pióro i pomasaował oczy. Nagle poczuł się zmęczony. No cóż, słusznie został ukarany za pychę, w jaką wbiło go wyróżnienie przez biskupa: spędził osiem godzin w siodle, by pogrzebać jakiegoś zapomnianego księdza, możliwe, że heretyka, nie lubianego przez znaczną część parafian. Nie musiał przynajmniej pisać długiej mowy.

– Wystarczy chyba – rzucił z powątpiewaniem – że powiem kilka ogólników: że spędził godnie życie w Bożej służbie i tak dalej. Ile dokładnie miał lat?

– Był stary, proszę księdza, ale wciąż całkiem żywotny. Miał pięćdziesiąt sześć lat.

Fairfax szybko policzył w pamięci. Jeśli Lacy spędził tutaj

trzydzieści dwa lata, musiał objąć parafię, kiedy miał dwadzieścia cztery – dokładnie tyle samo co on.

– A zatem Addicott było jego jedyną parafią? – zapytał.

– Tak, proszę księdza.

Próbował postawić się na miejscu starego plebana. Posłany w tak ustronne, zapomniane przez wszystkich miejsce, z pewnością by zwariował. Być może to właśnie przytrafiło się z biegiem lat Lacy’emu. Podczas gdy Pole awansował na biskupa, Lacy’ego pozostawiono, by tu marniał. Idealista zmienił się pod wpływem samotności w mizantropa.

– Jedna trzecia stulecia! Musiało mu się tu podobać – mruknął.

– O tak, uwielbiał to miejsce. Nigdy by stąd nie odszedł. – Gospodyni wstała. – Musisz być głodny, ojczy. Przygotowałam ci coś do jedzenia.

ROZDZIAŁ TRZECI

Fairfax idzie wcześniej spać i dokonuje niepokojącego odkrycia

Pani Budd zaserwowała mu prostą wieczerzę składającą się z potrawki z króliczych i baranich serc i dzbanka mocnego piwa, które, jak powiedziała, warzył sam ojciec Lacy. Chciał, by mu towarzyszyła, ale wymówiła się, twierdząc, że musi przygotować poczęstunek na stypę. Po jej siostrzenicy, Rose, nie było ani śladu.

Z początku Fairfax dziobał niechętnie jedzenie, ale z każdym kęsem wracał mu apetyt i w końcu zjadł całkiem sporo potrawki. Skończywszy, otarł usta chusteczką. To, czego doświadczamy, ma zawsze jakiś cel, znany tylko Bogu. Musiał jak najlepiej wykorzystać sytuację, w jakiej się znalazł. Tego właśnie oczekiwał biskup, a Fairfax będzie miał przynajmniej co opowiadać przy wieczerzy w refektarzu.

Dorzucił kolejne małe polano do ognia, żeby ogrzać trochę pomieszczenie, po czym wrócił do stołu, odsunął na bok talerz i wyjął z torby Biblię i modlitewnik. Następnie zapalił fajkę i odchylił się na krześle. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na kałamarz, a właściwie słoiczek z inkaustem. Wziął go do

ręki i podniósł do świecy. Dziwnego kształtu, długi na trzy cale i na jeden cal szeroki, zrobiony był z grubego przejrzystego szkła; miał karbowane boki oraz wypukłe dno, żeby można było wygodnie nabierać inkaust. Fairfax nigdy w życiu nie widział czegoś takiego. Kałamarz był z pewnością bardzo stary. Zastanawiał się, jak pleban wszedł w jego posiadanie.

Odstawił go na stół i zaczął pisać.

Ciszę zakłócało tylko tykanie stojącego w korytarzu zegara. Wkrótce pochłonęło go obmyślanie mowy. Przed swoim wniebowstąpieniem Chrystus nakazał apostołom pozostać w mieście i czekać na nadejście Pana. Czyż nie tak właśnie postępował Lacy? Pokornie pełniąc swoją służbę tam, gdzie go posłano, czekając, aż ukaże mu się Bóg we własnej postaci? Fairfax mógł jakoś rozwinąć tę myśl.

Agnes Budd pojawiła się ponownie mniej więcej po godzinie, żeby uprzątnąć stół. Wróciwszy z kuchni, oświadczyła, że idzie spać.

– Posłałam księdzu łóżko w gabinecie ojca Lacy’ego – dodała, po czym obeszła pokój, gasząc świece gasidłem.

Fairfax zastanawiał się, która może być godzina. Dziewiąta? Zwykle szedł o tej porze wraz z innymi do kaplicy Najświętszej Panienki na kompletę. Ale choć było dla niego nieco za wcześnie na spoczynek, nie skarżył się. Mógł dokończyć mowę rano. Poza tym wyjechał z Exeter tuż po świcie i kości bolały go ze zmęczenia. Schował swoje rzeczy do torby i postukał główką fajki o brzeg kominka.

Gabinet był mniejszy i bardziej zagracony od bawialni. Gospodyni weszła tam z dwiema świecami i zostawiła mu jedną na biurku. Wytapiany w domowych warunkach łój syczał i

skwierczał. W żółtawym blasku płomyka Fairfax zobaczył tapczan z cienką poduszką i pikowaną kołdrą, którą gospodyni uszyła pewnie księdzu w trakcie długich zimowych wieczorów. Wydawało mu się, że dalej w półmroku stoją regały zastawione książkami, papierami i bibelotami. Zasłony w oknach były już zasunięte.

– Mam nadzieję, że będzie tu księdzu wygodnie. Na górze są tylko dwie izby. Jedną zajmujemy Rose i ja, w drugiej leży ojciec Lacy. Jeśli ksiądz chce, możemy przestawić trumnę na podłogę.

– Nie, nie – odparł szybko. – Ta izba jak najbardziej mi odpowiada. Spędzę tu tylko jedną noc. – Siadł na tapczanie. Był twardy i w ogóle się nie ugiął. Fairfax uśmiechnął się. – Po takim dniu mógłbym zasnąć na stojąco. Bóg z tobą, pani Budd.

– I z tobą, ojczy.

Słyszał, jak zamyka frontowe drzwi, a potem wchodzi na górę po skrzypiących schodach. Przeszła dokładnie nad jego głową. Zmówił pacierz (*Oddaję się w Twoje ręce, Boże...*) i położył się spać. Minutę później usiadł z powrotem. Po wypiciu co najmniej kwarty mocnego księżowskiego piwa cisnął go pęcherz i musiał się natychmiast załatwić. Sięgnął pod tapczan w poszukiwaniu nocnika, ale znalazł tam tylko pajęczyny.

Ze świecą w ręce wyszedł na korytarz, zabrał stojące przy frontowych drzwiach buty i nie włożywszy ich, przeszedł przez bawialnię. W kuchni unosił się ciepły zapach pieczystego. Na półmiskach z poczęstunkiem, który gospodyni przygotowała na stypę, leżały muślinowe chusty. Fairfax usiadł na krześle przy tylnych drzwiach i wzuł buty.

Na zewnątrz panowały kompletne ciemności i cisza. Przy-

zwyczajony do wybijającego godziny dzwonu i świateł katedralnego miasta, do nocnych modlitw i szurania butów, do burd, które wszczynali na nabrzeżach ścigani przez szeryfów marynarze, poczuł, że kręci mu się niemal w głowie od takiej pustki – zupełnie jakby stanął na skraju wieczności.

A ziemia była niekształtowa i próżna, i ciemność była nad przepaścią.*

W tych warunkach nie było mowy, by sam znalazł wygodkę. Zrobił kilka niepewnych kroków, postawił świecznik na mokrej trawie, uniósł sutannę, ściągnął kalessony, rozstawił szeroko nogi i wysikał się tam, gdzie stał. Odgłos bijącej w ziemię mocnej strugi moczu słyhać było chyba po drugiej stronie doliny, nie tylko na piętrze, gdzie, jak sobie wyobrażał, Agnes i Rose kuliły się ze strachu. I tym razem mógł tylko postarać się nie wybuchnąć śmiechem.

Strząsnął ostatnie krople, doprowadził do porządku odzienie, podniósł z ziemi świecę i wrócił do drzwi. Deski, z których je zrobiono, wydawały się tak samo stare jak dom, ale założony w nich zamek był, podobnie jak ten we frontowych drzwiach, nowy. Jak wielu ludzi z miasta, Fairfax hołdował romantycznemu przekonaniu, że mieszkańcy wsi nigdy nie zamykają drzwi. Jak widać, nie dotyczyło to Addicott St George.

Wrócił do gabinetu, zdjął sutannę, położył się na tapczanie i natychmiast zasnął.

Jakiś czas później coś go obudziło. W pokoju było tak ciemno, że nie miało znaczenia, czy ma otwarte, czy zamknięte okno. Wrażenie było przerażające, zupełnie jakby oślepl albo

* Biblia Gdańska, Pierwsza Księga Mojżeszowa, 1, 2.

został żywcem zakopany. Uznał, że skoro wypaliła się świeca, musiało już upłynąć parę godzin i jak zwykle po pierwszym śnie zbudził go wewnętrzny zegar.

Wydawało mu się, że słyszy głos mężczyzny mamroczącego coś, czego nie był w stanie zrozumieć. Natężył słuch. Na chwilę zapadła cisza, potem głos odezwał się ponownie. Fairfax oparł się na łokciu. Usłyszał kolejny głos. Rozmawiali ze sobą dwaj mężczyźni – w potoczystym miejscowym dialekcie, niskim, niewyraźnym, śpiewnym, przypominającym brzęczenie pszczoł. Stali tuż za jego oknem.

Wstał z tapczanu i przez chwilę próbował określić swoją pozycję. Dał krok do przodu i walnął kolanem o kant biurka. Stłumił cisnące mu się na usta przekleństwo, pomasował kolano, po czym zaczął obmacywać przed sobą ściany. W końcu natrafił na tkaninę. Wbił w nią palce, znalazł miejsce, gdzie rozdzielały się zasłony, przesunął dłońmi po zimnych romboidalnych szybkach, wymacał klamkę, otworzył okno i wystawił na zewnątrz głowę.

Rozmawiający ze sobą mężczyźni odeszli dalej. Trochę niżej, po prawej stronie, w mroku poruszały się dwa światełka. Domyślił się, że patrzy na alejkę, która biegła z plebanii do kościoła. Za dwoma latarniami widać było inne, nieruchome albo powoli się przemieszczające. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Słysząc było turkot kół wózka.

Nad jego głową zatrzeszczały deski podłogi.

Zamknął okno i obmacując ściany, dotarł do drzwi. Agnes zeszła ze schodów w tym samym momencie, kiedy je otworzył. Trzymała w ręce świecę, włosy miała w papilotach. Na nocną koszulę zarzuciła płaszcz i na widok księdza szczerzej

się nim otuliła.

– Och, ojciec Fairfax... ale mnie ojciec nastraszył!

– Która jest godzina, pani Budd? Co to za dziwne spacery po wiosce?

Gospodyni podniosła świecę do cyferblatu stojącego zegara.

– Druga w nocy, proszę księdza, tak jak zwykle.

– W Exeter między pierwszym i drugim snem nie wychodzimy z domostw. Tymczasem tutaj ludzie włóczą się po ulicach. A co z zakazem wychodzenia z domów? Czy ci ludzie nie boją się chłosty?

– Nikt tutaj nie przejmuje się zbyt zakazami.

Agnes Budd ani razu na niego nie spojrzała i zdał sobie sprawę, że ma na sobie tylko koszulę i kalessony.

– Przepraszam za niestosowne odzienie – powiedział, wycofując się do gabinetu – ale całe to włóczenie się po nocy... To dla mnie nowy zwyczaj. Czy mógłbym dostać nową świecę? Albo dwie, jeśli to możliwe?

– Niech ksiądz tu zaczeka, zaraz przyniosę. – Nadal odwracając głowę, przeszła obok niego do kuchni.

Fairfax odszukał w ciemności sutannę, włożył ją i zapiał drżącymi palcami kilka guzików.

– Oto świece dla księdza – powiedziała Agnes Budd, stawiając je w progu gabinetu.

Wziął obie, zamknął drzwi i postawił jedną na biurku. Zamiast oddać się jak zwykle nocnym medytacjom, postanowił poszukać pośród rzeczy księdza czegoś, co pomogłoby mu napisać mowę pogrzebową. A najlepiej poznaje się charakter człowieka po książkach, które czyta. Zaczął sprawdzać zawar-

tość półek.

Ojciec Lacy miał co najmniej sto książek, niektóre bardzo stare. Szczególnie dużo było tych, których uczeni autorzy poświęcili życie studiowaniu Apokalipsy. Fairfax przesuwał palcem po tytułach – *Upadek człowieka, Wielki potop Noego, Zniszczenie Sodomy i Gomory, Gniew Boży na Babilon, Dziesięć plag egipskich, Szarańcza z otchłani, Jezioro ognia...* Jakim musiał być ponurym człowiekiem, pomyślał. Nic dziwnego, że okoliczni kapłani starali się go unikać.

Wyjął tom zatytułowany *Siedem czasz gniewu Bożego: Studia nad rozdziałem 16 Objawienia świętego Jana*, otworzył go i jego wzrok padł na znany ustęp:

I zgromadził ich na miejsce, które zowią po żydowsku Armageddon.

Tedy wylał siódmy Anioł czaszę swoją na powietrze; i wyszedł głos wielki z kościoła niebieskiego od stolicy, mówiący: Stało się.

I stały się głosy i gromy, i błyskawice; i stało się wielkie trzęsienie ziemi, jakiego nigdy nie było, jako są ludzie na ziemi, trzęsienia ziemi tak wielkiego.

I stało się ono miasto wielkie na trzy części rozerwane, i miasta narodów upadły.*

Zamknął książkę i odstawił ją na półkę. Kolekcja takich dzieł pasowałaby bardziej do biblioteki biskupa; ich obecność w zabitej deskami wiosce wydała mu się co najmniej dziwna.

* Ibid., Objawienie Jana 16, 16–19.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).